

## POZÓR CAŁKOWITEGO „OSWOJENIA” FIGURY UPADKU

Jak zauważyłem powyżej, pojęcie upadku – nie tyle oderwane od czysto fizycznego rozumienia, ile naznaczone już metaforycznie znaczeniem „upadania”, na przykład w zło – może mieć wiele odmian. Czym innym jest upadek człowieka w grzech (o czym traktuje obszernie paragraf siódmy Katechizmu Kościoła Katolickiego), czym innym rozpatrywany w oderwanym od filozoficznych analiz kontekście pojedynczy błąd moralny, który najlepiej oddaje pozostająca w relacji do kategorii upadku metafora potknięcia, jeszcze czym innym chylenie się ku upadkowi i popadanie w ruinę instytucji, imperiów czy cywilizacji. Rozgraniczenie tych znaczeń wydaje się trywialne – przestaje jednak być takie, jeśli uważniej przyjrzeć się związanym z nim trudnościom.

Po pierwsze, należy zauważyć, że rozbudowana chrześcijańska koncepcja grzechu, w tym grzechu pierworodnego (której nie będę tu omawiał z uwagi na jej złożoność), stanowi na tle pozostałych kontekstów znaczeniowych element spójnej i zamkniętej narracji. Pełni fundamentalną rolę w teologii, ma złożoną i bogatą tradycję, a także pozostaje w ścisłej relacji do pozostałych elementów opisu sytuacji człowieka w świecie i jego relacji do Boga. Jest zatem opowieścią w jakimś sensie totalną, niosącą w sobie zarówno moc wytyczania ogólnych ram całej narracji, jak i zdolność do interpretacji pojedynczych działań i aktów moralnych. Nie oznacza to oczywiście, że nie można jej wzbogacić czy wysubtelnić nowymi figurami czy formami opisu upadku.

Problemem pozostaje jednak wykroczenie poza granice tej narracji. Odrzucenie założeń dotyczących pojęcia grzechu czy choćby zdystansowanie się od koncepcji związku pojedynczych upadków moralnych z ogólną kondycją człowieka, czyli od opowieści o popadnięciu w pierwszy grzech i wynikłych stąd konsekwencji<sup>2</sup>, wydaje się zmniejszać sprawność eksplanacyjną tej narracji jako opowieści totalnej. Mogłoby to sugerować, że w wyniku procesu sekularyzacji społeczeństwa Zachodu czy wskutek innych zjawisk osłabiających dominującą rolę chrześcijańskiej opowieści o genezie zła, figura upadku moralnego wyraźnie traci na znaczeniu, podobnie jak rzekomo – w opinii niektórych językoznawców<sup>3</sup> – miało to już miejsce w przypadku pojęcia cnoty.

---

<sup>2</sup> Zob. Katechizm Kościoła Katolickiego, nr 397.

<sup>3</sup> Tak twierdzi na przykład Andrzej Bańkowski: „CNOTA XV–2 od c(z)snota XV–1, od adi. c(z)ny [...]. Słowo o szerokim znaczeniu «uczciwość» (XV–XVIII) zeszło dziś na specjalistyczny termin «katechizmowy»” (A. B a ń k o w s k i, *Etymologiczny słownik języka polskiego*, PWN, Warszawa 2000, s. 198). Owszem, można mówić o pewnym kryzysie pojęcia cnoty w dwudziestym

Z pomocą przychodzi tutaj jednak uniwersalna nośność figury upadania fizycznego, która karmi się naszymi bezpośrednimi doświadczeniami jako istot cielesnych. Nie będziemy chyba w błędzie, a nawet popadniemy (nomen omen) w trywialność, jeśli powołamy się na tę swoistość usytuowania człowieka, która przejawia się w jego wyprostowanej postawie i poruszaniu się w przestrzeni zdeterminowanej siłą ciężenia. Nasza „konstrukcja” oraz sposób poruszania się wymagają nieustannego przeciwstawiania się owej sile, o czym przekonujemy się najwyraźniej w momencie ograniczenia sprawności wywołanego chorobą, słabością czy niemocą, które utrudniają nam lub uniemożliwiają ruch. Podobnie żmudne wspinanie się czy wnoszenie ciężarów przypomina nam, że poruszanie się ku górze wiąże się z wysiłkiem i przewyciężaniem oporu, zjeżdżanie zaś, upadanie czy nawet układanie się do odpoczynku i snu jest wyrazem poddania się niepokonanej i stale towarzyszącej nam sile.

Nie sposób zaprzeczyć, że tego rodzaju modi naszego bycia, tak jak posiadowanie organu wzroku w głowie, która znajduje się na szczycie wyprostowanego ciała, muszą w jakimś stopniu determinować nasze głębokie przywiązanie do wertykalnego strukturyzowania świata. W tak „spionizowanym” i przeciwstawiającym się ciężeni (ku dołowi) świecie to, co wartościowe, piękne, dobre czy prawdziwe musi znajdować się na górze lub choćby ku górze zmierzać, zgodnie z kierunkiem wytyczonym przez wskazujący palec Platona na słynnym fresku Rafaela Santiago *Szkola ateńska*, podczas gdy w słabość, zło, grzech się (z góry) upada. Nie jest moim zadaniem rozwijać tego typu rozważania ani tym bardziej sugerować jakieś naturalistyczne i redukcjonistyczne interpretacje tej bardzo ważnej, wręcz fundamentalnej dla naszych form myślenia, specyficznie rozumianej wertykalnej „topiki” dobra i zła. Przywołuję ją jedynie jako element z całą pewnością zwiększający nośność metafory upadku duchowego i moralnego oraz wzmacniający przekonanie o jego głębokim i nieprzewyciężalnym zadomowieniu się w języku – nawet w czasach, gdy totalna opowieść o upadku człowieka w grzech nie ma już dominującego charakteru.

Innym, nieco bardziej wycofanym i ukrytym sprzymierzeńcem wertykalnej „konstrukcji” dobra i zła, wzmagającym jej dominację, wydaje się metafora otchłani. O ile najczęściej zwykliśmy sytuować to, co piękne, prawdziwe czy dobre gdzieś w górze, o tyle to, co znajduje się poniżej, naznaczone jest cechą dodatkową, wyrażoną w pojęciach otchłani czy czeluści. Intuicyjnie przepaść (obok kolejnego pięknego rodzimego rzeczownika „przepaść” wspomnijmy także pokrewny czasownik „przepadać”) sytuujemy poniżej nas, w jakiejś ot-

---

wieku (por. M. S c h e l e r, *O rehabilitacji cnoty*, tłum. R. Ingarden, „Znak” 46(1994) nr 8, s. 4-18), jednak pod koniec poprzedniego stulecia miał miejsce renesans zainteresowania etyką cnót. Na usprawiedliwienie Bańkowskiego trzeba jednak dodać, że nie sprawozdaje on stanu badań etycznych, ale potoczne intuicje językowe.

chłani, która nas przeraża, jak w słynnym aforyzmie Friedricha Nietzschego – aforyzmie wywołującym drzenie niezależnie od tego, jak często go przywołujemy: „Kto walczy z potworami, niech uważa, by sam się nie stał potworem. Bo gdy długo spoglądasz w otchłań, również otchłań spogląda w ciebie”.

Nośność figury otchłani chciałbym dodatkowo zilustrować pewnym osobistym doświadczeniem – obrazem z dzieciństwa. Podczas swojej pierwszej wizyty w dużym mieście, pierwszego wyjazdu z rodzinnej wsi, jeden z moich małych krewnych po wyjściu na balkon na ostatnim piętrze wieżowca, przytłoczony wrażeniem, jakie to na nim wywarło, zawołał: „Ale tu głęboko!”. Przez lata opowieść o tym okrzyku była traktowana jako komiczna, jako zabawny wytwór rzekomego infantylizmu myślenia małego chłopca porażonego wrażeniem dużej wysokości. Teraz jednak, zwłaszcza po niejednokrotnej lekturze aforyzmu Nietzschego, gotów jestem przyznać, że był to najtrafniejszy sposób nazwania napotkanego przez dziecko fenomenu. Stojąc na dużej wysokości, a nawet mając w świeżej pamięci, że znalazło się tam na skutek wjazdu windą czy wspinaczki po schodach, i tak uległo wrażeniu, że to, co się przed nim i p o d nim rozpostarło, to głębia, a nie wysokość. Tak więc to, co potocznie określamy jako „lęk wysokości”, byłoby w swej istocie lękiem głębi lub bardziej złowrogim lękiem czeluści, czyli w istocie lękiem przed u p a d k i e m w c z e l u ś ć.